

Amerykański republikanizm, amerykańska demokracja oraz uwiad konserwatyzmu w XX wieku – w paru zdaniach

Imigranci nie przyjeżdżali za ocean, by budować demokrację, tym mniej liberalizm. Pierwsi – purytanie, prezbiterianie – i później kwakrzy chcieli pozbyć się resztek rzekomego papizmu wśród anglikanów, powrotu do chrześcijaństwa pierwszych wieków, gdy tymczasem ożywiali ducha dawnych schizm. Także imigrantom anglikańskim (kościół episkopalny w Ameryce) nie w głowie były ustrojowe eksperymenty. Żywy był wśród nich duch arystokratyczny (jak nie byłby świeży, jeśli nie nowobogacki, ale też w elicie często stoicki). Powstałe kolonie charakteryzowały różne obyczajowości, różne modele gospodarki i wspólnotowego życia. Łączył je swoisty paternalizm ustrojowy (m.in. elitę polityczną tworzyły rodziny, nie regularne wybory na stanowiska publiczne). Późniejsi imigranci, głównie ci spoza Królestwa, ratowali się przed głodem, chcieli życia we wspólnotach przednowożytnych, ale w wolności tych wspólnot. Niezwykłym fenomenem był rok debaty ratyfikacyjnej, która ogarnęła szokująco duży segment społeczeństwa - obywateli, którzy poczuli się jakby "*landed gentry*", choć lepiej powiedzieć, "*landed citizens*". To cały czas był okres republikański, gdzie punktem wyjścia jest dobro ogółu – inaczej niż w demokracji, w której punktem wyjścia jest dobro jednostki – oraz władza wykonywana przez reprezentację wyłonioną przez obywateli z odpowiednim cenzusem na podstawie szczególnych zasług i cnót najlepszych obywateli z tej warstwy.

Krótki opis myśli politycznej czasu rewolucji amerykańskiej i późniejszego zawarłem tutaj (podrozdział „W poszukiwaniu pożądanego ładu politycznego” w rozdz. 21 zbioru pt. „Amerykański konserwatyzm na progu XXI wieku”):

https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/21_ks.pdf ;

patrz też („Arcana” nr 122)

<https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/Koronacki%20-%20wybory%20w%20USA.pdf> ,
gdzie m.in. można znaleźć ważne uwagi o różnie wyrażanym przez niektórych wybitnych Ojców Założycieli poparciu dla idei monarchizmu.

Oczywiście literatura obfituje w porównania i przeciwstawianie sobie rewolucji amerykańskiej i francuskiej. Najczęściej jednak autorzy pomijają różnicę fundamentalną, tę mianowicie, że **rewolucja amerykańska była nie tyle rewolucją, co działaniem na rzecz zapobieżenia rewolucji, czyli była działaniem na rzecz powrotu do wcześniej ustalonego i utrwalonego ładu** – była buntem przeciw królowi i parlamentowi, którzy według kolonistów dokonali zamachu na przywileje nadane im przez prawo i tradycję, przez starą konstytucję angielską.

Sytuacja ekonomiczna po wojnie z Brytyjczykami zrodziła ducha biznesowego – ogromny dług publiczny, monetyzacja długu, niepewność ekonomiczna kazały obywatelom myśleć w kategoriach biznesowych. Walka o zabezpieczenie bytu realizuje się przez ... staranie o wzbogacenie się, by zapewnić sobie możliwie bezpieczny byt w nawet niedalekiej przyszłości. Także rolnik i hodowca byłą stają się biznesmenami. Sytuacja społeczna zmienia się w niezwykłym tempie. Rozpoczyna się migracja z farmy do miasta, rozwój gospodarczy wciąga coraz liczniejsze rzesze. Dawny ustrojowy paternalizm, a z nim republikanizm w dawnym stylu tracą rację bytu. Każdy staje się posiadaczem, choćby swojego warsztatu pracy, każda warstwa społeczna, grupa zawodowa domaga się praw politycznych dla obrony własnego, partykularnego interesu.

Liczność populacji rośnie z roku na rok: nie licząc ludności rdzennej wynosi 4 miliony w roku 1790, w roku 1800 to już 5,3 miliona osób, 10 lat później to 7,24 miliona, w roku 1820 to 9,64 miliona osób. Rośnie powierzchnia kolonii i następnie stanów: początkowo obszar kolonii sięga od Atlantyku po grzbiet Appalachów; w 1764 Korona zabrania osadnictwa na zachód od grzbietu Appalachów po wschodni brzeg Missisipi, ale to jednak trwa (dalej na zachód rozciąga się historyczna Luizjana, będąca własnością najpierw Hiszpanii i potem Francji, która na północy sięgała obecnej granicy USA i na południu obecnej Luizjany, z grubsza obejmując zachodnie dorzecze Missisipi); w 1783 cały obszar 13 stanów po wschodni brzeg Missisipi zostaje przez Koronę oddany Stanom Zjednoczonym; w 1803 USA powiększają swój obszar w wyniku wykupienia od Francji historycznej Luizjany; w 1819 Hiszpania dokonuje na rzecz USA cesji Florydy, w połowie XIX wieku USA panują już także nad Teksasem i na zachodzie aż po Pacyfik. W tak dynamicznie rozwijającym się kraju nie sposób zachować republikański ład. Miał rację John Randolph z Roanoke, który po zakupie historycznej Luizjany orzekł rychły koniec republiki.

Żaden z Ojców Założycieli nie chciał powstania partii (z nieuniknionymi elementami partiokracji w miejsce dbania o dobro całości), ale już "po chwili" tworzył partię Madison, zresztą przekonany, że wcześniej swoją partię już był stworzył Hamilton (gdy ten drugi był pewny, że jego stronnictwo było tymczasowym zrzeszeniem na rzecz dobra państwa).

W 1828 Jackson stworzył (albo co najmniej rozbuchał do niesłychanych wcześniej rozmiarów) *"spoils system"* („system łupów”). Za prezydentury Jacksona nabrała też impetu demokratyzacja ustroju Ameryki. Między innymi zwiększyła się liczba stanów, w których czynne prawo wyborcze do Kongresu przysługiwało wszystkim białym mężczyznom, a nie tylko tym z nich – w New Jersey także kobietom – którzy mogli pochwalić się posiadaniem jakiejś własności, o różnej w różnych stanach wartości (proces takiego rozszerzenia prawa wyborczego został w USA zakończony w roku 1856). U zarania federalnego państwa około połowa mężczyzn nie miała prawa głosu.

Od początku mieliśmy konflikt Północy z Południem - ich zupełnie różnych wizji społecznego, gospodarczego i federalnego dobrostanu. I nawet na samym tylko Południu już w 1806 roku John Randolph opuścił Madisonsa i Jeffersona, i utworzył ugrupowanie swoich "Quids" (patrz pierwszy z przywołanych wcześniej moich tekstów).

I tak to **myśl Ojców Założycieli została nieomal unieważniona jeszcze za ich życia przez naród wolnych obywateli**. Gdyby nie religia (jej głównie purytańskie źródła, potem Wielkie Przebudzenia) i inne specyficzne cechy amerykańskiego społeczeństwa, o których pisał de Tocqueville, Ameryka utonąłaby w chaosie kulturalnym i moralnym już w XIX wieku (nota bene purytanizm przeszedł szybko złe przemiany – powstały kościoły liberalne, unitarianizm i z czasem millenaryzm). Tocqueville miał rację - Amerykanie wierzyli tylko w niedziele, poza tym żyli bezbożnie, a jednak to ta wiara utrzymywała możliwie zdrowy ład społeczny.

Demokracja nie miała chrześcijańskiego charakteru, była ideą na ruchomych piaskach, jak już w połowie XIX wieku pisał o tym wyczerpująco i z bólem Orestes Brownson, według kard. Johna Newmana największy amerykański myśliciel XIX wieku. Zarazem była jak powietrze, którym społeczeństwo oddychało już dekady wcześniej – społeczeństwo amerykańskie było społeczeństwem obywatelskim od zarania, tyle że nie indywidualistycznym a rodzinnym, lokalnym. Burzliwie się rozwijającym z wysoką przestępczością i religijnymi hamulcami na nią nakładanymi, w którym utrzymywał się naturalny i możliwie zdrowy ład społeczny. Do czasu.

I jeszcze zapytajmy **kim są dziś konserwatyści?** Chcą chrześcijańskiego ładu. Chcą republiki Ojców Założycieli. Chcą też wolnej inicjatywy na rynku gospodarczym (nie napisałem wolnego rynku, ponieważ to mógł być rynek protekcyjnie chroniony). Minimum rządu, stany (państwa!) sfederowane, a nie państwo unitarne. Ale ujmując rzecz w karykaturalnym skrócie: chrześcijański ład tylko w niedziele albo i rzadziej, coraz rzadziej; republiki nie ma od, powiedzmy, lat 1820-tych; prawa rynku, minimum rządu, ale przecież rozwój ekonomiczny to coraz większy biznes, współpraca biznesu z klasą polityczną, w końcu na deser, w XX wieku państwo opiekuńczo-wojenne, imperialne. A więc kim są? Tymi, którzy żyją przeszłością i dziś chcą (a może od początku chcieli) łączyć ogień z wodą. Co pisali mądrzy Amerykanie i Kanadyjczyk George Grant w połowie XX wieku.

Przyczyny porażki konserwatyzmu począwszy od połowy XX wieku krótko opisałem np. tutaj (patrz od słów: Dwight Eisenhower):

<https://teologiapolityczna.pl/jacek-koronacki-konserwatysci-w-ameryce-bidena>

P.S. Drogę ku państwu opiekuńczo-wojennemu (*welfare-warfare state*) od początku ery postępowej podsumowałem tutaj (p. punkt „Wielki biznes, bank centralny, postępową erą i ...religijna utopia”):

<https://wnet.fm/2018/04/30/jacek-koronacki-w-poszukiwaniu-amerykańskiej-elity-społecznej/>

P.P.S. Najważniejsze spośród tych źródeł, na których się opierałem, to monografie Russella Kirka (np. „The Roots of American Order”), Gordona S. Wooda (np. „The Radicalism of the American Revolution”) i Forresta McDonalda (np. „Novus Ordo Seclorum”), opis debaty ratyfikacyjnej pióra Pauline Maier („Ratification: The People Debate the Constitution, 1787 – 1788”), oczywiście także tom „The Federalist” oraz wybrane eseje antyfederalistów.

I jeszcze tytułem uzupełnienia parę słów o demokracji, przepisanych (ze zmianami) z mojego rozdziału pt. Posthumanizm a technologia (M. Szulakiewicz [red.], „W poszukiwaniu nowego człowieka – Colloquia Torunensia XXIV”, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 2020:

Już Alexis de Tocqueville wiedział, że demokracja nie sprzyja myśli metafizycznej i teologicznej, rozwija zaś język służący codziennym zajęciom praktycznym. Uczy pragmatyzmu i likwiduje język zdolny przekazać doświadczenia życia duchowego. Tym skuteczniej, że starym słowom przydaje zupełnie nowe znaczenia i tworzy także słowa nowe (Tocqueville pisał o nowych słowach odpowiadających „technicznemu” charakterowi komunikacji międzyludzkiej, gdy dziś chodzi o język ideologiczny właściwy późnej nowoczesności czy ponowoczesności). Sprawia też, że demokratyczne elity będą skłonne ulegać tak albo inaczej artykułowanemu panteizmowi.

Zaiste, była to analiza prorocza, tym głębsza, że de Tocqueville dostrzegł kartezjański fundament myśli demokratycznej. Kartezjańskim punktem wyjścia jest to, że wiem, iż jestem. To właściwie wszystko, co wiem. Jestem w tym, i wszystkim co dotyczy mojej istoty, równy innym, a inni są równi mnie. A zatem ani ja – pisał Tocqueville – ani nikt inny nie może dzierżyć osobowej władzy nad innymi i przeto muszę być nieufny wobec wszelkiego osobowego autorytetu. Ale jeśli tak, to jesteśmy równi w swojej bezradności.

I dziś nie wiemy, jak oprzeć się temu co bezosobowe albo jest wynikiem „naukowej ekspertyzy”. W ostatnim zdaniu ważne jest słowo „dziś” – w XX wieku kartezjanizm zamienił się w popkartezjanizm¹. Metafizyczny dualizm Kartezjusza wykluczał łączenie filozofii przyrody z filozofią ducha, nawet uprawomocniał szukanie przez naukę jedynie przyczyn sprawczych i niezajmowanie się przyczynami celowymi, ale w centrum kartezjańskiej ontologii był Bóg. Nie byłoby praw natury, gdyby nie stałość i niezawodność Bożego działania. Bez ustalenia istnienia Boga nie widział Kartezjusz możliwości udowodnienia istnienia świata. Zaś fundament wiedzy znajdował Kartezjusz w świadomości ducha. Ale dziś w najlepszym razie mamy do czynienia z popkartezjanizmem, jako że nie ma już miejsca na duszę – duchową część człowieka – tak jak według współczesnych „guru” nie ma już miejsca dla Boga. (Tak naprawdę jest już tylko obłąd – p. mój tekst pt. „Krótka refleksja o obłądnie wykorzenienia” albo jego bardzo krótkie podsumowanie, https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/różne_rodzaje_humanofobii_-_podsumowanie.pdf .)

¹ Tym terminem posługiwał się pisarz i myśliciel amerykańskiego Południa, Walker Percy. Na myśli miał m.in. współczesnych wyznawców ateistycznego scjentyzmu.